



arch. Piotr M. Glegoła
architekt IARP

W poszukiwaniu utraconego stylu

A w jakim stylu właściwie projektujemy? Czy mamy świadomość obecnych i niedawnych nurtów w sztuce? Takie pytanie, zupełnie niespodziewanie i bez odpowiedzi, przyszło mi niedawno do głowy. Oczywiście nie chodzi tu o odpowiedź, że „jakieś suchary”, jak uprzejmie ocenił kiedyś moje projekty pewien architekt, korzystając z anonimowości dyskusji w sieci, ale o styl znany w sztuce i oficjalnie sklasyfikowany. Chociaż przyznać należy, że era sucharów brzmi nieźle. Znalazłbym się przecież w licznym i doborowym towarzystwie...

Oczywistym jest, że takie problemy rozwiązuje się w kawiarni środowiskowej, dyskutując, a potem ewentualnie pojedynkując. Tak jak przykładowo impresjoniści w nieistniejącej już paryskiej Café Guerbois, czy skamandryci w również nieistniejącej warszawskiej kawiarni „Pod Picadorem” przy Nowym Świecie nr 57. Z braku takowych lokali w czasach obecnych, udałem się do siedziby Izby. Napotkałem tam kilku Kolegów Architektów i wszystkim po kolei zadałem – wydawało mi się absolutnie proste – pytanie: *Szanowny Kolega w jakim stylu obecnie projektuje?*

Reakcje były różne. Zaczynało się zawsze od dziwnego spojrzenia w moją stronę, jakby niezbyt pozytywnie oceniającego mą poczynałość, skoro pytam o tak dziwne i niezyciowe sprawy. Czasami spojrzenie wspomagane było nerwowym śmiechem. Potem chwila lekko kłopotliwego zniecierpliwienia, podszytego (o dziwo) zirytowaniem. Czyżby jakiś kompleks? Wreszcie padała niepewna odpowiedź – że „ostatnio głównie w stylu jakoś przeżyć” albo „kto teraz o stylach pamięta”. Ewentualnie usiłowali mi wmówić, że „żadnego stylu przecież jeszcze nie ma, bo dopiero później nas sklasyfikują”.

A przecież od podstawówki, poprzez liceum aż po studia, spotykaliśmy się z istną oriądą stylów! Można by pomyśleć, że to

kluczowa wiedza, w jaką należy wyposażać ucznia, a potem młodego adepta architektury. I po tym wszystkim, kiedy zostałem ku mojej rozpaczy brutalnie wypchnięty przez system na zewnątrz ukochanej uczelni, rozmowy o stylach zanikły zupełnie – nagle i niespodziewanie po dyplomie... – cisza.

Dlatego nie poddałem się. Jednak aby naga-bywanym sprawę ułatwić, próbowałem zacząć rozmowę nieco inaczej. Dorwałem na początek jednego ze znanych lokalnie projektantów, pochylonego nad jakimiś formularzami w sekretariacie Izby. Nie dając mu szansy na ucieczkę, zaatakowałem takim zdaniem: *Widziałem ostatnio zrealizowany budynek Szanownego Kolegi... Tak, ten przy (tu padła lokalizacja) i zastanawia mnie, jak sprytnie udało się Koledze przemierzyć powiedecką transgresję w połączeniu z elementami konceptualizmu, co w sumie przeciwstawiło się doskonale szkole lipskiej... Co prawda te elementy narożników są jakby niepokojąco neoekspresyjne... Jednakże całą bryłę nazwałbym neotrybalistyczną, ale nie w sposób oczywisty rzecz jasna... Ciekaw jestem, czy takie były zamierzenia Kolegi?* – podsumowałem życzliwie, z wyczekującym wyrazem twarzy. Mój rozmówca spojrzał oczami wielkimi jak spodki, jeszcze dziwniej niż ci poprzedniego dnia. Szybko się jednak otrząsnął (cóż znaczy doświadczony architekt!), i – po rzuconym w coś ponad moją głowę bezosobowym „no, tak... tak...” – odparł, że chętnie by o tym porozmawiał, ale ma zaraz „naradę w izbie krajowej” i bardzo się spieszy. Pomyślałem, że zareagował w ten sposób, ponieważ był akurat poza pracownią, na obcym gruncie, a ja brutalnie wkroczyłem w tak intymne obszary jego jaźni, jakimi są procesy twórcze. Niezbyt ładnie, panie Piotrze...

Dlatego drugiej napotkanej osoby postanowiłem już nie przytłaczać ilością problematyki estetycznej. Rzuciłem krótko i rzeczowo, ale z przyjaznym uśmiechem: *Cześć... wiesz...*

elewacja tego twojego budynku przy (tu padła lokalizacja) genialnie nawiązuje do land artu, chociaż widzę też trochę związku z abstrakcją liryczną... Nieprawdaż? Tym razem interlokutor też nie mógł odpowiedzieć, bo jak się okazało, niestety właśnie wychodził – a w aucie na dole czekała już żona.

Tak – pomyślałem – to błąd nękać twórcę oderwanego od swojego naturalnego środowiska, intymną problematyką niuansów kreacji. Od trzeciej osoby oczekiwałem więc już tylko krótkiej odpowiedzi – tak lub nie: *Cześć, miło Cię widzieć... czy dobrze dostrzegłem, że twój ostatni budynek, ten przy (tu padła lokalizacja) to czyste odwołanie się do tradycji neo konceptu?* Niestety Kolega akurat musiał pilnie zadzwonić i, jak się nagle okazało, równie pilnie odebrać dziecko ze szkoły.

Przez następne dni usiłowałem o stylach porozmawiać z moimi bliższymi lub dalszymi znajomymi-architektami, ale jakoś mi się nie udawało. Odniosłem natomiast wrażenie – początkowo mając nadzieję mylną, że widząc mnie, wszyscy uciekają, wymawiając się przeróżnymi obowiązkami. Po jakimś czasie nabrałem jednak pewności, że znajomi i nawet nieznajomi architekci, widząc mnie, jawnie przechodzą na drugą stronę ulicy, a nawet w panice zawracają samochodem, nie bacząc na zakazy, ulice jednokierunkowe, trawniki czy wysepki.

No cóż – pomyślałem – nie posiadając dostępu do kawiarni architektów, gdzie mógłbym dyskutować o nowych twórczych stylach, nie mając też społecznej akceptacji dla tezy, że architekt jest twórcą sztuki (co gorsza, również wśród architektów), pozostaje mi tylko jedno. Sam wezmę na barki ciężar odbudowy wizerunku środowiska i stworzę nowy styl – stając się na przykład kimś w rodzaju architektonicznego Banksy'ego. Street-art – brzmi nieźle. A co to jest, zapytacie? Nie wiem, przecież żadną formą nie powołałem go jeszcze do życia...